

*I kaliny, i konwalie,
Niepotrzebnych kwiatów tyle.*

*A w katedrze w Sandomierzu
Tyle mąk namalowano,
Tyle czartów, tyle świętych,
Rano, wieczór, wieczór, rano...*

*Na ulicach, co dom jaki,
Zaraz widać dal za rzeką.
Boże, Boże, jak tu pięknie,
Jak zielono, jak daleko.*

Rymowanka. Kantyczka. Katarynka. Wierszyk, jaki mógłby napisać młody, niezdolny poeta, pod warunkiem, że miałby odrobinę wrażliwości na krajobraz i uznał, że lepiej czasem pójść na cmentarz, a nie na piwo. Ale młody poeta lub początkujący emeryt siedzieliby i biedzili nad rymami, rytmem, prozodią wiersza. Myślę, że Iwaszkiewicz napisał to w kilka minut, dbając o to, aby w tej lirycznej notatce nie było nic podniosłego, „poetycznego”. Prostota, zdawałoby się – siermiężna – tego drobiazgu jest zamierzona, jakby poeta chciał powiedzieć: ja mogę sobie na to pozwolić. Pozwolił więc sobie na powtórki: *rano, wieczór i Boże, Boże*. I jeszcze na coś: w ostatniej zwrotce są *dal i daleko*, blisko siebie. Nie zauważył? Ależ nie! Bo to daleko zmienia kantyczkę w prawdziwy wiersz liryczny. Bo przecież chodzi tu nie o odległość mierzoną w kilometrach, a inną – od przeszłości do terażniejszości, od dnia napisania wiersza do nieodgadnionej, ale nieuchronnej przyszłości. Tej zapisanej w innym, osobliwym wierszu.



Jarosław Iwaszkiewicz

V

Mapa pogody (1977) jest przedostatnim tomem wierszy Jarosława Iwaszkiewicza. Znajdujemy tam wiersz:

Gra I

*Graliśmy w karty: ja, dwa kościotrupy,
Pewna trupianka i ksiądz Kalinowski.
Oni zgarniali sztonów wielkie kupy,
Ja przegrywałem. I przegrałem duszę.*

*Oni się śmieli. Chichot był czartowski.
I z klekotaniem tańczyli po stole.
A potem w niebo. Tu przyznać się muszę,
Zemdlałem. Potem było pole*

*Szerokie i wiatr. W polu stół i obrus rozdarty
I nic.
Skończyły się karty.*

Jest to wiersz ze złego snu. Realne, wzięte z jawy są pole, wiatr, stół, rozdarty obrus, sztony, karty i ksiądz Kalinowski – postać z dalekiej przeszłości, czy sąsiad ze Stawiska? Reszta jest strasznym snem o śmierci, o tym, że (na tamtym świecie?) nie będzie przebaczenia za winy i grzechy.

To zadziwiające: poeta, ledwie przekroczył pięćdziesiątkę, wydawał się sobie człowiekiem bardzo starym. W jego wierszach coraz więcej było przeszłości, na terażniejszość prawie zawsze padał cień daremności i przemijania. Dawno już zniknęły z jego poezji nuty parnasizmu, wiersze stawały się coraz prostsze. Niekiedy zniknęło z nich wszystko, co potocznie nazywa się „poetycznością”, powstawały szkielety wierszy. Wspomniana *Urania, Biografia, Stary poeta*, przejmująca *Ostatnia piosenka wędrownego czeladnika* porażają czystością i właśnie skrajną prostotą. Prawdopodobnie dążył do tych celów przez całe życie. I podarował nam kilka osobliwych wierszy. A może wszystkie są takie – osobliwe? Zapewne tak, bo tylko on mógł je napisać.

Marek Wawrzkiwicz



Jarosław Iwaszkiewicz

Urania

Uranio, sosno, siostró – tak ciebie nazywam
Bo palcem pnia swojego ukazujesz niebo
Wiatr co się w twojej czarnej grzywie zrywa
Zacicha dołem. Siostró, wzywam ciebie
Jak niegdyś wróżę w koronach z jemióły
Abyś wytrzymała w progu mego domu
I strzegła kwiatu, owocu i pszczoły
I serc co tutaj gasną po kryjomu.
Uranio, muzu dnia ostatecznego
Bogini końca, bogini trwałości
Zniszczeń bogini i wszystkiego złego
Stójże na straży domu i nicości.
Weźmij mnie w swoje grzywy, ty szalona
Wyszarp mi ręce co już nie wyrosną
Pogrzeb mnie, ratuj, daj swoje korony,
Bym także był Uranią, nicością i sosną.

Noc i gwiazdy

Noc i gwiazdy. I światło w dole,
Stoimy na górze wysoko.

Wszystko się złało, wielkie czarne pole,
W którym się gubi oko.

Kładę rękę na twojej piersi. Serce bije.
Krok za krokiem schodzimy drogą.
Widzę tylko twój profil i szyję,
Więcej zobaczyć nie mogę.

I więcej poczuć nie mogę:
I noc, i ciało twoje, i serce, i góry,
I zimny powiew, który zabiega nam drogę,
Powiew od zimnej chmury.

Noc nas ogarnia i muzyka
Świerków szumiących o dniu.
Ciało twoje z rąk mi się wymyka.
Zostańmy tu!

Upokarza mnie miłość

Upokarza mnie miłość. Przystaję być sobą.
I myślę tylko o tym, co się dzieje ze mną,
Niebo mi się wydaje przykryte żałobą,
A ziemia albo zimną albo nieprzyjemną.

Nie mam dla ludzi wtedy żalu ni miłości,
Przeglądam się zbyt długo w przejrzystym
zwierciadle,
I długo wyobrażam przedmiot mej miłości,
Ociągając się biernie na snu prześcieradle.

Gubię się, chcę poprawić i bezradny stoję
Widząc śnieg lub malachit obserwując
stropów,
I patrząc na samotność, z którą się rozstaję,
Wciągam, chrapiąc nozdrzami, zapach
heliotropów.

Nie wróci długo spokój; lata całe będę
Nie rozumiał mych czynów, słów i blasku
ziemi,
Patrzę, jak na ugoru zaniedbaną grzędę,
Na mą duszę, spletaną więzami nowemi.

Sen w gaju

Usnąłem i wyśniłem gaj pomarańczowy,
Wysokiej Etny śniegi srebrzyste w oddali
I morze nieruchome jak z niebieskiej stali,
I cyprysy, i nasze przytulone głowy –

Jak dawniej najdroższymi witałaś mnie
słowy,
I staliśmy wsłuchani we szepty Monreale
Szczęściem swej obecności tak owiani cali,
Że welon nas zakrywał jak zorza różowy.

Mówiąc ci słowa słodkie, wierne i poddańcze,
Zbudziłem się nad morzem, nad zielenią
brzegu.
I wszystko było prawdą: kwitły pomarańcze

I cyprysy szły kędyś w zakonnym szeregu,
I gaj, owoce, kwiaty, wszystko wonią biło.
I obłok był różowy – lecz ciebie nie było.

